

Fakty, poglądy, opinie

Dość naukowego pozoractwa

(...) Ciężką chorobą polskiej nauki jest pozoractwo. Stopnie i tytuły naukowe oraz stanowiska kierownicze w nauce często nie mają umocowania w dorobku naukowym ich posiadaczy. Krokiem na drodze uzdrowienia tej sytuacji powinna być jawność dorobku naukowego polskich uczonych. Dotyczy to zwłaszcza publikacji w czasopismach naukowych z tzw. listy filadelfijskiej oraz ich cytowań. Dostęp do tych i innych ważnych informacji naukowych umożliwiała internetowa platforma „Sieć wiedzy” (www. isiwefbofknowledge. com). Ministerstwo Nauki i Informatyzacji powinno zakupić zbiorową licencję na dostęp do tej platformy zarówno dla siebie (bo też jej nie ma!), jak i dla wszystkich uczelni publicznych w Polsce.

W portalu internetowym nauki polskiej (http://nauka-polska. pl) warto utworzyć formularze indywidualnego dorobku naukowego i udostępnić je do wypełnienia polskim pracownikom naukowym. Uzyskane dane można by umieszczać w ogólnodostępnej bazie danych „Ludzie nauki”, co pomogłoby przy podejmowaniu decyzji personalnych w naukowych instytucjach. W oparciu o taką bazę i jasne kryteria można by opracować zautomatyzowany system oceny dorobku naukowego.

Kryteria nie mogą być identyczne przy ocenie dorobku naukowców z różnych dyscyplin. Natomiast można w ten sposób uzyskać oceny porównawcze w obrębie każdej dziedziny z osobna.

Kompleksowa ocena winna uwzględniać inne formy działalności związane z nauką: dydaktykę, osiągnięcia patentowe, współpracę z przemysłem i innymi jednostkami naukowymi, mobilność zatrudnienia, umiejętność kierowania zespołem i zdobywania środków finansowych. Odpowiada to zaleceniom zawartym w Europejskiej Karcie Naukowca, przyjętej przez Komisję Europejską 11 marca 2005 roku.

Trzeba zrezygnować z „belwederskich” tytułów profesorskich i habilitacji. Pracownicy naukowcy powinni być powoływani na stanowiska profesorskie tylko przez uczelnie w drodze otwartego konkursu.

Należy przywrócić sens słowu „profesor”, które oznacza nauczyciela. W Polsce wielu profesorów ma niewiele wspólnego z nauczaniem. Profesorowie powinni mieć wyraźny dorobek naukowy i uznanie międzynarodowe. W konkursie na stanowisko profesora zwyczajnego, szczególnie w naukach ścisłych, kandydat winien uzyskać rekomendacje od dwóch profesorów uczelni zagranicznych. (...)

prof. Józef Kalisz Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie
prof. Andrzej Jajszczyk Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie
Rzeczpospolita, 22 czerwca

Etyka przegrywa z pieniędzmi

Środowisko naukowe, chociaż darzone dużą estymą w społeczeństwie, nie jest wolne od grzechów. Pracownicy renomowanych uniwersytetów poddani są silnej presji - konkurencji ze strony kolegów, naciskom żądnych wyników i publikacji przełożonych, wreszcie finansujących badania instytucji. Dlatego zdarza się, że uciekają się do fałszerstw, plagiatów i innych nieczystych chwytów. Żeby sprawdzić skalę takich zjawisk, etycy z Uniwersytetu Stanu Minnesota rozesłali anonimowe ankiety do ponad 7 tys. naukowców, a wnioski wyciągnięte na podstawie odpowiedzi zaprezentowali w jednym z ostatnich „Nature”. (...)

Aż ponad 33 proc. naukowców przyznało się do popełnienia w ciągu ostatnich trzech lat jednego z wymienionych w nich czynów nieetycznych. Najczęściej była to zmiana sposobu przeprowadzenia eksperymentu lub też nawet

jego wyników (!) ze względu na naciski ze strony organizacji finansujących badania. Aż 15 proc. uczonych odrzuciło niektóre wyniki lub ignorowało dokonane obserwacje tylko na podstawie własnych przeczuc, że muszą one być błędne; 10 proc. rozmyślnie zapomniało umieścić w publikacji istotnych szczegółów dotyczących przeprowadzenia doświadczeń; 6 proc. ukrywało dane, które przeczyły uzyskanym poprzednio wynikom. A za takie czyny grożą już sankcje karne.

Olga Sobolewska
Gazeta Wyborcza, 24 czerwca

Naukowcy z pomysłami

Co hamuje innowacyjność? Wedle prof. Huberta Latośa z bydgoskiej Akademii Techniczno-Rolniczej, głównymi przyczynami dotychczasowych sukcesów różnych prób instytucjonalnego powiązania działań gospodarki i nauki są: ograniczone zainteresowanie kadry menedżerskiej wdrażaniem nowej techniki oraz mierne korzyści dla twórców.

Oziębłość menedżerów prof. Latoś tłumaczy zaangażowaniem w przekształcenia własnościowe, które dają perspektywę uzyskiwania przychodów nadzwyczajnych o wiele znacześniejszych aniżeli te, jakie można otrzymać z tworzenia nowej techniki. Mierne korzyści dla twórców wiążą z ograniczonymi możliwościami zabezpieczenia nowej techniki przez twórcę-pracownika przed jej nieekwiwalentnym przejęciem przez pracodawcę.

Zdaniem dr. Jana Piszczka z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, specjalisty m.in. z zakresu prawa materialnego i autorskiego, innowacyjność hamuje m.in. niska świadomość środowisk naukowych w zakresie własności intelektualnej: – Analizowałem wiele umów o pracę wytworzonych w różnych uczelniach. Nie ma w nich słowa o prawach autorskich i majątkowych w przypadku wynalazku, czy nowych rozwiązań technicznych. Uczelnie zdają się nie zauważać, że taki problem może zaistnieć. Podobną odporność na wiedzę prawniczą wykazuje kadra menedżerska. Zgadzam się z konstatacją, że brakuje również systemu motywacyjnego dla wynalazców. I póki państwo takiego spójnego systemu motywowania dla nauki i przemysłu nie zorganizuje – nic z tego nie wyjdzie. Reasumując – narzędzia prawne do rozwiązania problemu są. Nie ma tylko ludzi, którzy potrafili by te narzędzia użyć. Nie ma również menedżerów wynalazczości. Kancelarie rzeczników patentowych nie mogą pełnić tej roli, bo nie zajmują się marketingiem i promocją. Tej profesji, wymagającej wiedzy z pogranicza prawa, ekonomii i techniki, na polskim rynku usług po prostu jeszcze nie ma... (...)

Janina Słomińska
Sprawy Nauki, 1 lipca

Oportunizm nagrodzony

Prezydenckie kampanie wyborcze w Polsce obfitują w zaskakujące wydarzenia i niespodziewane sytuacje. W pierwszych wyborach prezydenckich i w ogóle pierwszych prawdziwie demokratycznych wyborach w III RP duża część Polaków głosowała na niejakiego Stana Tymińskiego, „człowieka znikąd”. Jego populistyczna kampania była świetna, a głosowano w dużym stopniu na przekór medialnej nagonce na tego podejrzanego osobnika, w której w pewnym momencie uczestniczyła zdecydowana większość dziennikarzy.

Decydująca o dalszych losach Polski kampania z 1995 roku również była niezwykle spektaklem. Lech Wałęsa startował jako bodaj ostatni w rankingu, ale z tygodnia na tydzień zdobywał czołową pozycję. Gdyby nie jego absurdatne zachowanie w decydujących debatach telewizyjnych - to on byłby prezydentem, a nie Aleksander Kwaśniewski. Kampania Wałęsy w tamtych wyborach to był medialny majstersztyk.

Jednak obecna kampania jest jeszcze większym socjotechnicznym majstersztykiem. Oto długo po jej rozpoczęciu na scenę wkracza Włodzimierz Cimoszewicz. Nikt, kto ma minimum rozeznania w sprawach publicznych, nie może

wątpić, że to kandydat postkomunistów. A tymczasem Cimoszewicz przystępuje do boju o fotel prezydencki jako kandydat niezależny. Przystępuje do niej wezwany i niejako przymuszony do tego nie tylko przez swych kolegów i zwolenników, ale zgola przez znaczną część narodu! Po tym, gdy na początku kampanii oświadczył, że nie będzie kandydował, mieliśmy do czynienia z bezprecedensową w polskiej historii kampanią na rzecz Cimoszewicza.

Najpierw wielu prominentnych działaczy SLD często i regularnie występujących w mediach zgodnie wyrażało żal z powodu tej decyzji i nadzieję, że ją zmieni. Ale on trwał przy swoim. Potem przez media przebiegały wiadomości, jak to kolejne grupy związane z SLD ślą apele do Cimoszewicza, aby jednak stał się kandydatem. Z niewiadomych przyczyn był to zawsze nagłośniony temat. Wreszcie sam pan prezydent, którego popularność wprawdzie regularnie spada od momentu zmian w telewizji publicznej oraz afery Orłenu, prosił Cimoszewicza o kandydowanie. A ten wahał się i znów dzielnie odmówił. Rzecz jasna, był to powód do wystąpienia we wszystkich możliwych mediach i nie było takiej telewizji, radia i gazety, która nie poruszyła tego tematu, na ogół opatrząc go własnym komentarzem.

Była to więc świetna okazja, aby powtórzyć motyw główny decyzji: że oto pan marszałek jest zniesmaczony polską polityką, zmęczony jej hamstwem i brutalnością i chce się usunąć na swe Podlasie, piękne przecież i znane jako zakątek spokoju, ciszy, czystości świata...

Wreszcie, po kolejnych apelach Polskie Radio zleciło badanie firmie Pentor (prowadzonej przez ekipę dawniej ściśle związaną z PZPR), w którym do listy kandydatów na urząd prezydenta, stosowanej już kolejny raz w przedwyborczych sondażach, nie wiadomo dlaczego dodano także nazwisko Cimoszewicza. I oto okazało się, że w sondażu ankietowani chcieliby głosować na pana niekandydata częściej niż na dotychczasowych liderów przedwyborczych rankingów! Sprawa stała się absolutnym newsem, czyli wiadomością, którą - pomimo weekendu, i to gorącego - musiały skomentować wszystkie telewizje, radia i gazety. Nawet takie, których słucha się lub które się przegląda na plaży czy w ogródku.

Nie można się dziwić, że osoba tak „wezwana przez naród” uległa wreszcie i zapisała się na listę oficjalnych kandydatów. I w tym wypadku jednak nie było prostego oświadczenia - znowu sceny wahania, odkładanie decyzji, wreszcie uroczystość na Uniwersytecie Warszawskim, w trakcie której ogłoszono, że wreszcie pan niekandydat staje się oto kandydatem. Zanim przebrzmiały komentarze z lewa i z prawa, w sukurs ruszyła „Gazeta Wyborcza”, zamawiając kolejny, szybki sondaż, tym razem realizowany przez socpka PBS - bez żadnych więc politycznych podtekstów! - który wykazuje, że już blisko 40 procent Polaków sądzi, że ledwo startujący marszałek ma szansę wygrać wybory!

Tak oto mieliśmy do czynienia ze swoistą niekampanią na rzecz niekandydata, czyli z czymś, co jest całkowicie nowatorskim przedsięwzięciem kampanijnym w polskiej historii. Gdy wreszcie bowiem niekandydat przystępuje do walki, ma już za sobą niezwykle udaną część „kandydackiej” kampanii wyborczej za sobą! (...)

Ireneusz Krzemiński
Sociolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, prorektor Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych
Rzeczpospolita, 1 lipca

Skończcie z tą pomocą!

Jeśli Zachód chce naprawdę coś zrobić dla Afryki, to niech wycofa swoją pomoc. Te pieniądze służą wyłącznie rozbudowywaniu biurokracji, napędzają korupcję i uczą Afrykanów żebractwa – mówi James Shikwati, kenijski ekspert od spraw gospodarczych.

Na szczycie G8 w Gleneagles zapadła decyzja przyznania Afryce większej pomocy finansowej...

James Shikwati... skończcie z tym, na Boga!

Ależ bogate zachodnie społeczeństwa mają zamiar całkowicie wyeliminować głód i nędzę.

Takie zamierzenia przynoszą naszemu kontynentowi szkody już od 40 lat. Jeśli Zachód naprawdę chce pomóc Afrykanom, niech skończy z tą cholerną pomocą. Krajom, które uzyskały największą pomoc rozwojową, powodzi się teraz najgorzej. Mimo miliardów, które do nas napłynęły, kontynent nadal jest biedny.

Może nam pan wyjaśnić ten paradoks?

Finansuje się rozbudowane aparaty biurokratyczne, sprzyja korupcji i złudnemu zadowoleniu z siebie. Afrykanie wychowywani są do żebractwa i niesamodzielności. Do tego pomoc finansowa osłabia niezbędnego ducha przedsiębiorczości na lokalnych rynkach. Jakkolwiek absurdalnie to może zabrzmieć, właśnie ta pomoc jest jedną z przyczyn problemów, z którymi boryka się Afryka. Gdyby jej zabrakło, przeciętny Afrykanin nawet by tego nie zauważył. Tylko dla urzędników byłby to szok. Dlatego twierdzą oni, że świat bez tej pomocy zachwałby się w posadach.

Nawet w takim kraju jak Kenia rokrocznie ludzie umierają z głodu. Przecież trzeba im pomóc.

Ale to sami Kenijczycy muszą przyjść tym ludziom z pomocą. Jeżeli w jakimś regionie kraju panuje susza, nasi skorumpowani politycy natychmiast wzywają Zachód na pomoc. Ten apel trafia do Światowego Programu Żywnościowego ONZ, czyli do olbrzymiej instytucji zatrudniającej aparatczyków, którzy sami znajdują się w dość absurdalnej sytuacji: ich zadaniem jest wprawdzie walka z głodem, ale wszyscy byłiby bezrobotni, gdyby faktycznie udało im się go pokonać. (...)

Thilo Thielke
Tygodnik Forum, 20 lipca

Studia powinny uczyć mobilności

■ Obecnie absolwenci nawet bardzo popularnych kierunków studiów mogą mieć trudności ze znalezieniem pracy. Jak wygląda to w świetle teorii?

– Z ogólnych zasad ekonomii wynika po pierwsze, że osoba wyżej wykształcona, o wyższym zasobie kapitału ludzkiego łatwiej znajduje pracę, niż osoba z niższym wykształceniem. Po drugie, taka osoba powinna znaleźć pracę lepszą, wyżej płatną i o lepszych perspektywach rozwojowych. Reguła ta na ogół się sprawdza – niezależnie, czy będzie to Polska czy jakikolwiek inny kraj. Świadczą o tym statystyki, które pokazują, że odsetki bezrobotnych są niższe w miarę wzrostu poziomu ich wykształcenia. Należy również zauważyć, że osoby z wyższym wykształceniem znajdują szybciej pracę nawet w tych dziedzinach, które nie wymagają ukończenia studiów. Dla potencjalnego pracodawcy osoba, która posiada wyższe wykształcenie, nie tylko wyróżnia się większą wiedzą, ale i charakterem. Na ogół zakłada on, że jest ona konsekwentna, wytrwała i bardziej pracowita, niż osoba o niższym wykształceniu. Istotny jest też upór i stabilność psychiczna. Wszystko to razem sprawia, że osoba z wykształceniem łatwiej tworzy obraz lepszego kandydata do pracy.

■ Jak wytłumaczyć wysoki odsetek bezrobotnych absolwentów z polskich uczelni?

– Po pierwsze, należałoby zapytać, czy absolwenci z tytułami magistra bądź licencjata rzeczywiście posiadli wyższe wykształcenie, czy tylko uzyskali dyplom. Po drugie, należy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego mają trudności ze znalezieniem pracy. Czy dlatego, że mają wyższe wykształcenie czy też dlatego, że nastąpił wzrost podaży absolwentów, a gospodarka jest prowadzona od kilkunastu lat bez myśli o szukaniu równowagi makroekonomicznej na rynku pracy. (...)

z prof. Ryszardem S. Domańskim, rektorem Wyższej Szkoły Handlu i Finansów Międzynarodowych
rozmaiał Marcin Kowalczyk
Gazeta Prawna, 21 lipca

Habilitacja z przeceny

Dziś doktor habilitowany to deficytowy produkt rynkowy. Uczelnie, aby prowadzić kierunek studiów, muszą spełniać określone minimum kadrowe, czyli zatrudniać od 4 do 8 ty-

tułowanych nauczycieli akademickich. W 2004 r. jeden doktor habilitowany przypadał na 137 studentów. Już niedługo ta proporcja może się zmienić, bo o nadawaniu stopnia będą decydować uczelnie.

Czekające w Sejmie na ostatnie głosowanie prawo o szkolnictwie wyższym pozbawia Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów Naukowych prawa do akceptowania uchwał rad wydziałów o nadaniu stopnia doktora habilitowanego.

– Lepiej byłoby zlikwidować habilitację niż tworzyć jej karykaturę – uważa prof. Ryszard Tadeusiewicz, rektor krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Uczelnie bowiem potrzebują więcej samodzielnych pracowników i rynek wymusi sztuczną produkcję habilitantów. Zdaniem posłów wystarczy, że Centralna Komisja (CK) będzie mogła odebrać uprawnienia wydziałowi akceptującemu przewody na niskim poziomie. Jednak od decyzji CK przysługuje skarga kolejno do wojewódzkiego i Naczelnego Sądu Administracyjnego i zanim zapadnie prawomocna decyzja, może upłynąć nawet kilka lat. (...)

Jolanta Góra
Gazeta Prawna, 22–24 lipca

Uczni wobec demonów XX wieku

Jedną z norm etyki zawodowej uczonych jest dzielenie się z innymi swymi osiągnięciami, to jest publikowanie ich w formie maksymalnie dostępnej dla innych uczestników systemu. Mniejsza o to, czy uznamy, że powyższa norma ma zapewniać innym korzystanie z uzyskanych już wyników i przyspieszać tym samym tempo rozwoju wiedzy, czy też zapewniać intersubiektywną kontrolę uzyskiwanych rezultatów w imię eliminacji błędów, czy też służyć realizacji systemu wymiany (prestż społeczny za osiągnięcia) między nauką a społeczeństwem - norma ta spełniać może wszystkie te trzy funkcje naraz - istotne tu jest to tylko, że w żadnym wypadku nie da się ona pogodzić z tajnością wyników. Wiadomo zaś dobrze, że tajnością, i to na długie lata, objęte współcześnie bywają nie tylko uzyskiwane wyniki, ale nawet nazwiska uczonych prowadzących badania. Jest zaś rzeczą oczywistą, iż i sytuacja zawodowa uczonych zaangażowanych w badania odkryte tajemnicą zależeć musi od innych czynników niż uznanie grona kolegów po fachu, z czego zdają oni sobie sprawę i co musi powodować, przynajmniej w skali społecznej, przemiany motywacji badawczych i etyki zawodowej. Badania tajne dla celów wojskowych to pod tym względem tylko ekstremum wszelkich badań stosowanych, mających przynosić zysk ekonomiczny.

Uczni zaangażowani w badania podstawowe zdecydowanie sprzeciwiają się, jak wiadomo, wszelkim ograniczeniom swobody bezpośredniego i pośredniego komunikowania się w skali narodowej czy międzynarodowej ze swymi kolegami po fachu. To oni przede wszystkim występują w obronie tradycyjnego etosu nauki. (...)

Profesor Stefan Amsterdamski (1929-2005)
Gazeta Wyborcza, 23 lipca

Uczelnie walczą o cudzoziemców

Polskie uczelnie chcą przyciągać młodzież z całego świata. Szczególnie zabiegają o Chińczyków

Jako jedna z pierwszych do ofensywy przystąpiła Politechnika Łódzka. Już w 2001 r. jej przedstawiciele pojechali do Pekinu i pokazali swą ofertę.

Potem byli jeszcze kilka razy. Efekt - w Łodzi studiować będzie blisko 50 Chińczyków. Mają do wyboru biotechnologię, mechanikę, elektronikę, informatykę i biznes. Po angielsku. Za rok zapłacą 4 tys. euro. (...) Do Chin w poszukiwaniu studentów jedzą też już m.in. władze Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetu Łódzkiego.

- Aby przyciągnąć cudzoziemców z Chin i innych krajów, będziemy promować się na światowych portalach edukacyjnych - mówi Jadwiga Janik, rzecznik UŁ.

- Cudzoziemcy na uczelni to dodatkowe pieniądze, a także prestiż - podkreśla dr Hanna Mausch, kierownik Uniwer-

syteckiego Centrum Edukacji Międzynarodowej UAM. - Musimy szybko stworzyć dla nich atrakcyjną ofertę edukacyjną po angielsku. Tym razem nie chodzi tylko o krótkie kursy, ale o całe pełnowymiarowe studia.

(...) W Polsce cudzoziemcy to tylko ok. 5 proc. wszystkich studentów, na dodatek to głównie słuchacze krótkich kursów, takich jak szkoły języka polskiego albo przyjeżdżający na kilka miesięcy stypendyści unijnego programu Socrates-Erasmus. Saryusz-Wolski z Politechniki Łódzkiej przekazuje, że mamy szansę rozwijać „przemysł” uniwersytecki: - Koszty nauki i życia są u nas niższe niż w Europie Zachodniej. Zagraniczni studenci to korzyść nie tylko dla uczelni. Oni muszą gdzieś mieszkać, jeść, kupować ubrania. Na świecie żyje z nich wielu mieszkańców uniwersyteckich miast.

Cudzoziemcy z krajów UE mają prawo studiować u nas na takich samych zasadach jak Polacy. Jeśli dostaną się na studia dzienne na publicznej uczelni, nie płacą za nie. Dla tych spoza Unii, np. z Chin, studia nie są darmowe. Opłaty ustalają wydziały, ale ustawa o szkolnictwie wyższym mówi, że nie mogą być niższe niż 2 tys. euro za rok.

Joanna Blewaska,
Gazeta Wyborcza, 26 lipca

Siedem grzechów Sejmu

Zła jakość tworzonego prawa jest jedną z przyczyn kryzysu państwa prawnego. Zaniechanie przez prawodawcę działań przywracających zgodność z konstytucją jest łamaniem tej konstytucji - stwierdził prof. Safjan

Taką diagnozę postawił prezes Trybunału Konstytucyjnego prof. Marek Safjan, przedstawiając Sejmowi w środę doroczną informację o działalności kierowanej przez siebie instytucji. Trybunał wydał w 2004 r. wyroki stwierdzające niekonstytucyjność czterdziestu czterech przepisów. Oznacza to dyskwalifikację więcej niż połowy norm prawnych poddanych jego ocenie. O inflacji tworzonego prawa świadczy to, że parlamentarna twórczość w 2004 r. zajęła 21 tys. stron Dziennika Ustaw, z czego 60 proc. stanowiły nowelizacje. - Jest to dowód niestabilności prawa, burzącej zaufanie obywatela do państwa - mówił profesor z sejmowej trybuny.

Za drugi poważny błąd ustawodawcy prezes Trybunału uważa brak strategii legislacyjnej. Jej efektem są rozwiązania przypadkowe, nieprzemyślane, a czasem wprowadzające sytuację całkowicie odmienną od dotychczasowej. Powstające w Sejmie prawo jest ponadto niejasne i niejednoznaczne. Efektem są różnorodne interpretacje oraz rozbieżności w orzecznictwie sądów. Szczególnie godne napiętnowania są tego typu błędy w przepisach podatkowych, celnych, w prawie karnym.

Jako kolejny grzech ustawodawcy prof. Safjan wymienił powtarzalność błędów. Z tego powodu Trybunał kilkakrotnie zajmował się m.in. sprawą czynszów lokatorskich, ponieważ po kolejnych wyrokach Sejm ustanawiał przepisy takie jak te, które uznano za niekonstytucyjne.

Błędami legislacyjnymi wytkniętymi przez prezesa Trybunału są też nieprawidłowe wprowadzanie poprawek poselskich, które często mają charakter raczej nowej inicjatywy ustawodawczej, oraz nieprecyzyjne formułowanie delegacji ustawowych. Prof. Safjan za nieprawidłowość uważa także mechaniczne przenoszenie prawa unijnego do polskiego ustawodawstwa, bez analizy obu systemów oraz celów, jakim implementowane normy mają służyć. (...)

Jolanta Kroner
Rzeczpospolita, 28 lipca

Pozwólcie działać, pozwólcie się uczyć!

(...) Sytuacja w szkolnictwie jest zła tak jak w innych obszarach kontrolowanych przez rząd i biurokrację. Kolejne tak zwane reformy nie tylko nie są w stanie przesłonić tego faktu, ale jeszcze bardziej go eksponują. Od kilkunastu lat w tej czy innej postaci utrzymywany jest model, który uniemożliwia dostęp do konstytucyjnie gwarantowanych dóbr, jak edukacja czy też opieka medyczna. Dotyka to zwłaszcza słabszych ekonomicznie. Stosowane i podtrzymywane rozwiązania nie dały szansy na jakikolwiek równoprawny dostęp do

wyższego wykształcenia. Tym bardziej nie zmienia tego zapowiedź wprowadzenia odpłatnego szkolnictwa wyższego w uczelniach finansowanych przez rząd. Jest to wyłącznie zapowiedź zwiększenia obciążeń podatkowych. Odpłatności nie towarzyszy ograniczenie opodatkowania społeczeństwa, które łoży na ten cel. Skoro tak się nie stanie, to oznacza jedynie komercjalizację rządowych uczelni. Pozwoli to na czerpanie podwójnych korzyści finansowych - z podatków i wprowadzonej odpłatności. Nic pozytywnego stąd wyniknąć nie może. (...)

Jeśli uznajemy sprawę edukacji społeczeństwa za jedną z najważniejszych dla przyszłości naszego narodu oraz przyjmujemy do wiadomości ograniczone zasoby finansowe, to bezwzględnie należy zmienić obecny system szkolnictwa w usługi edukacyjne kupowane dla obywateli przez państwo na konkurencyjnym rynku. Ewolucja państwa w naszym kręgu cywilizacyjnym zaszła na tyle daleko, że zapewnia swoim obywatelom edukację. Może to czynić jak obecnie, budując i likwidując szkoły, które samo prowadzi - od podstawowych po wyższe. Obecny stan podyktowany jest politycznymi interesami rządzących oraz materialnym interesem stworzonej do tego celu biurokracji, która istnieje dzięki tzw. bezpłatnemu szkolnictwu.

Nie ma najmniejszego organizacyjnego i merytorycznego powodu, dla którego państwo ma prowadzić szkolnictwo. Zwłaszcza że czyni to wyłącznie za nasze pieniądze, odebrane w takich czy innych podatkach. Dlatego też należy przywrócić wolność w wyborze (za nasze pieniądze) szkoły, do której posyłamy własne dzieci. (...)

Andrzej Sadowski,
autor jest jednym z założycieli i wiceprezydentem Centrum im. Adama Smitha
Rzeczpospolita, 11 sierpnia

Produkcja zasobów zamiast kształcenia ludzi

Trudno powiedzieć, o co chodziło Annie Radziwiłł i rządowi Marka Belki, gdy przedstawiali „Strategię rozwoju edukacji na lata 2007 - 2013”. Cały ten 50-stronicowy dokument składa się bowiem z garści powszechnie dostępnych danych statystycznych i całej masy sformułowań typu: należy poprawić jakość, podwyższyć efektywność, lepiej zorganizować, dostosować, zaadaptować, skoordynować itd. Konkretność jest niewiele. I w takim dokumencie pada postulat powszechnej odpłatności za studia powiązanej z systemem stypendiów dla najbiedniejszych i najzdolniejszych.

Chodzi o to, że jeżeli miałyby to istotnie „poprawić jakość”, „zwiększyć efektywność”, „dostosować” i „zaadaptować”, to należałoby to poprzeć rzeczową argumentacją i analizą finansową. Czy naprawdę mamy wierzyć pani minister na słowo, że tak będzie lepiej i sprawliwiej? I czy z pewnością w ten sam sposób rozumiemy sprawliwiość? Poproszony o zabranie głosu w tej sprawie mogę jedynie zapytać: a konkretnie, o co chodzi? Czy ministerstwo mogłoby przedstawić przewidywane przychody i koszty takiego rozwiązania? Rzetelną analizę konsekwencji społecznych? Na przykład, czy doprowadzi to do zmiany składu socjalnego studentów? Czy nie będzie barierą dla młodzieży z biedniejszych grup społecznych? W projekcie na ten temat nie ma jednak dosłownie nic. Anna Radziwiłł proponuje tak kontrowersyjnie społecznie rozwiązanie i nie popiera go żadnym wyliczeniem i jeszcze się dziwi, że „projekt” wywołuje oburzenie. Co ciekawe, jednym z częściej powtarzanych ogólników w rządowej strategii edukacyjnej jest konieczność społecznego konsultowania proponowanych rozwiązań. Czy społeczne konsultacje mają wyglądać tak, że ministerstwo będzie rzucać hasła, a publicyści liczyć?

Wobec tego zmuszeni jesteśmy potraktować projekt raczej jako akt wiary, wyraz pewnego sposobu myślenia o edukacji wyższej. Sposobu, który wydaje się odwrotny - w stosunku do swoich założeń, i szkodliwy - co do konsekwencji cywilizacyjnych dla Polski. (...)

Stawomir Sierakowski,
autor jest publicystą „Krytyki Politycznej”
Rzeczpospolita, 11 sierpnia

wybrała esa

Przegląd prasy

Gorzowscy politycy PO zorganizowali debatę pod hasłem „Uniwersytet szansą dla Gorzowa”. Jednak po tym jak nowy rektor Uniwersytetu Zielonogórskiego prof. dr hab. Czesław Osękowski przedstawił wyśrubowane warunki, jakie musi spełniać uczelnia ubiegająca się o to miano, marzenia o uniwersytecie przysły. „Chcemy akademii” to tytuł artykułu z Gazety Wyborczej z dnia 25-26 czerwca.

„Gorąco maturzystom” to artykuł z dnia 27 czerwca z Gazety Lubuskiej. Centralna Komisja Edukacyjna obiecywała, że dziś ujawni wyniki nowej matury. Zostało mało czasu na składanie podań na studia. Uniwersytet Zielonogórski postanowił wydłużyć termin składania podań.

Kierunek politologia na Uniwersytecie Zielonogórskim otrzymał pozytywną ocenę Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Informuje nas Gazeta Wyborcza w wydaniu weekendowym 2-3 lipca. W zeszłym roku politologia otrzymała ocenę warunkową, bo w instytucie pracowało za mało doktorów habilitowanych i profesorów.

W Gazecie Wyborczej z dnia 2-3 lipca w artykule pt. „Oblężony uniwerk” znajdziemy informacje na temat rekrutacji na Uniwersytecie Zielonogórskim. Ponad 900 podań dziennie przyjmuje Dział Rekrutacji zielonogórskiej uczelni. Takiego szalu jeszcze nigdy nie było – mówią pracownicy UZ. Największym wzięciem cieszą się języki obce i socjologia.

„Startują po indeksy” to tytuł artykułu z Gazety Lubuskiej z dnia 4 lipca. W sobotę wpłynęły ostatnie zgłoszenia na malarstwo, grafikę, architekturę wnętrz, edukację artystyczną w zakresie sztuk plastycznych na Uniwersytecie Zielonogórskim. Najwięcej kandydatów zgłosiło się na architekturę wnętrz. Na pozostałych wydziałach i kierunkach wyznaczono późniejsze terminy.

Pierwsze egzaminy wstępne zaczęły się na Uniwersytecie Zielonogórskim. Na pierwszy ogień poszli kandydaci na Wydział Artystyczny. Absolwenci szkół średnich sprawdzali swoje umiejętności praktyczne z rysunku. Do dyspozycji mieli ołówki, tusz lub węgiel. „Uniwerk rekrutuje” to tytuł artykułu z Gazety Wyborczej z dnia 6 lipca.

„Dłużej na fizykę” informuje Gazeta Lubuska z dnia 6 lipca. Do 12 bm. przedłużono termin składania dokumentów na astronomię, fizykę i fizykę techniczną na Uniwersytecie Zielonogórskim. Nabór miał się zakończyć 4 bm. podjęto jednak decyzję, że rekrutacja będzie trwała nadal.

„Student pilnie poszukiwany” tak pisze Gazeta Wyborcza z dnia 7 lipca. To nieprawda, że podczas wakacji nie ma zajęcia dla młodzieży. Zarobek czeka na nich w pubach i pizzeriach w całym mieście. Ofert mogą szukać też w Ochotniczym Hufcu Pracy. Paulina studiuje informatykę i ekonometrię na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zobaczyła ogłoszenie, że w pubie Highlander potrzebni są ludzie do pracy. Wystarczyła rozmowa z kierownikiem, aby rozpocząć pracę.

Czy tak właśnie wyglądają warszawscy krezusi: paradują z walizką banknotów przed Pałacem Kultury i Nauki? Nie to Dominik Złotkowski pracownik Uniwersytetu Zielonogórskiego, performer ze swym poznańskim Teatrem Usta Usta zaprezentował kilka dni temu na stołecznym Festiwalu Sztuki Ulicznej spektakl „Cadillac”. „Na stołecznym bruku” to tytuł artykułu z Gazety Lubuskiej z dnia 9-10 lipca.

„Ta gwiazda mogła być nasza” pisze Gazeta Lubuska w wydaniu weekendowym z dnia 9-10 lipca. Supernowa przeszła nam koło nosa. A przecież do jej odkrycia mogło dojść w